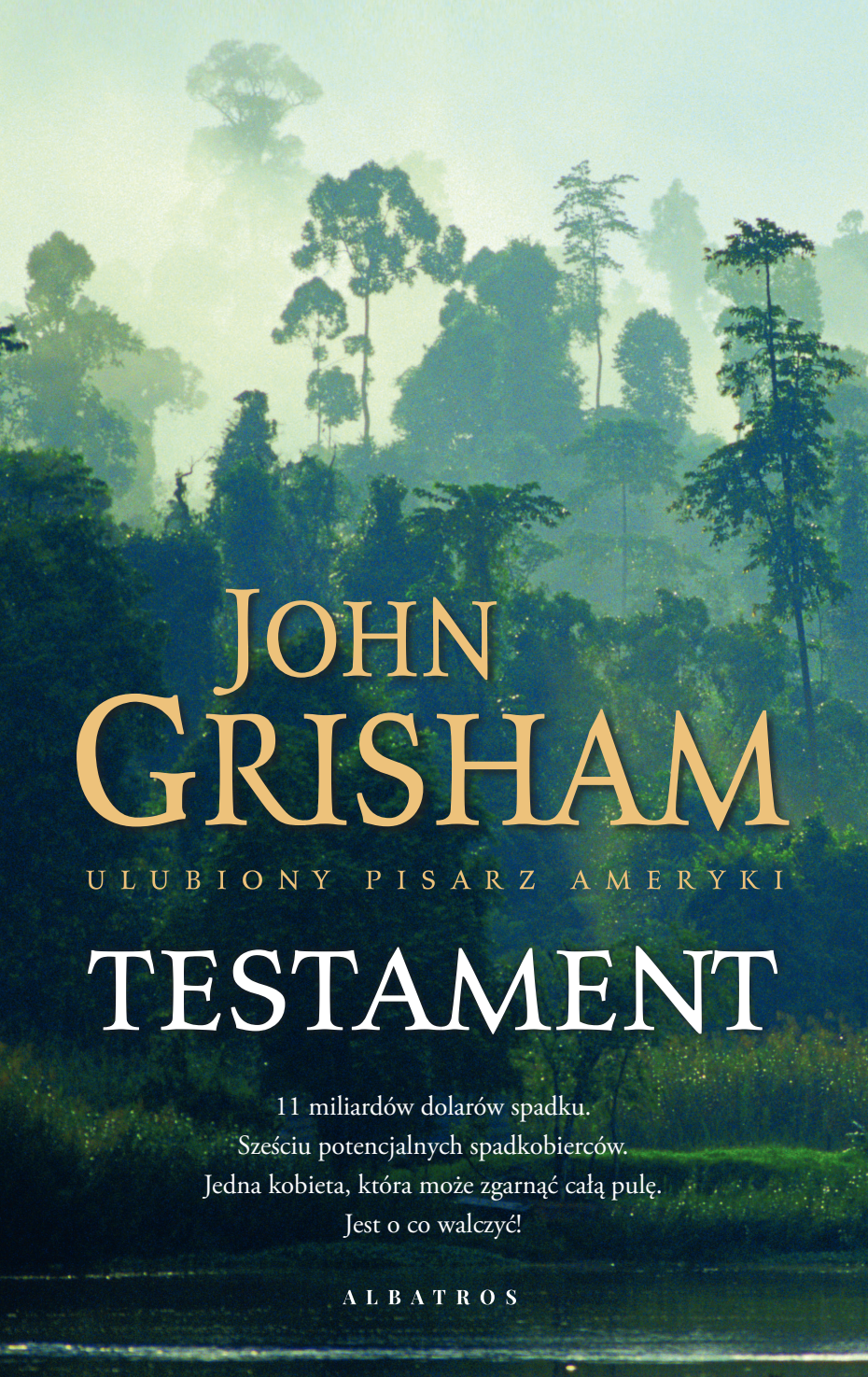




# JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

# TESTAMENT

11 miliardów dolarów spadku.

Sześciu potencjalnych spadkobierców.

Jedna kobieta, która może zgarnąć całą pulę.

Jest o co walczyć!

ALBATROS

Tytuł oryginału:  
THE TESTAMENT

Copyright © 1999 by Belfry Holdings Inc.  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Anna Esden-Tempska 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Zdjęcie na okładce: © Magnusson/Stone/Getty Images

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



# Rozdział 1

---

**D**obiłem do ostatniego dnia, a nawet ostatniej godziny. Jestem starym człowiekiem, samotnym i niekochanym, chorym i cierpiącym, zmęczonym życiem. Jestem gotów przejść na drugą stronę. Tam musi być lepiej.

Jestem właścicielem wysokiego szklanego budynku, w którym mam apartament zajmujący całą kondygnację, i dziewięćdziesięciu siedmiu procent akcji korporacji, której siedziba mieści się piętro niżej. Do mnie należy również działka, na której stoi budynek – obszar o długości dwóch kilometrów i szerokości kilometra. Podlegają mi dwa tysiące ludzi, którzy pracują tutaj, i kolejne dwadzieścia tysięcy pracujących w innych miejscach. Jestem właścicielem podziemnego rurociągu, który doprowadza do budynku gaz z moich pól naftowych w Teksasie, oraz linii wysokiego napięcia dostarczających tu elektryczność. Wynajmuję satelitę, który, niewidoczny, krąży kilometry nad Ziemią, i to za jego pośrednictwem przekazywałem niezbyt uprzejmym tonem rozkazy w różne strony mojego imperium rozrzuconego po całym świecie. Środki, którymi dysponuję, przekraczają sumę jedenastu miliardów dolarów. Mam srebro w Nevadzie i miedź w Montanie, kawę w Kenii i węgiel w Angoli, a także plantacje kauczuku w Malezji, gaz w Teksasie, ropę naftową w Indonezji i stal w Chinach. Moje przedsiębiorstwo obejmuje firmy energetyczne, produkujące komputery i budujące tamy, oraz popularne wydawnictwa i stacje nadające

przez mojego satelitę. Mam filie, których oddziały znajdują się w tylu krajach, że nikt tego nie zliczy.

Swego czasu posiadałem wszystkie niezbędne zabawki – jachty, odrzutowce, blondynki, domy w Europie, hacjendy w Argentynie, wyspę na Pacyfiku, konie szlachetnej krwi, nawet drużynę hokejową. Ale wyrosłem z tego. Jestem już za stary.

Pieniądze są źródłem mojej niedoli.

Miałem trzy rodziny – trzy kolejne żony urodziły mi siedmioro dzieci, z których szóstka jeszcze żyje i robi wszystko, żeby mnie dręczyć. Z tego, co wiem, spółdziłem całą tę siódmkę. Jedno pochowałem. A raczej powinienem powiedzieć, że pochowała je matka. Mnie nie było w kraju.

Nie utrzymuję kontaktu z żonami ani dziećmi. Zbierają się tu dzisiaj, bo umieram i czas podzielić pieniądze.



Ten dzień planowałem od dawna. Mój budynek ma czternaście pięter – każde o wielkiej przestrzeni – a jego skrzydła otaczają ocieniony dziedziniec na tyłach, gdzie niegdyś wydawałem lunche w blasku słońca. Mieszkam i pracuję na samej górze – na ponad tysiącu metrach luksusu, co wielu wydawałoby się nieprzyzwoite, ale mnie to w najmniejszym stopniu nie przeszkadza. Zaczynałem od zera i w pocie czoła, dzięki inteligencji, zdobywałem majątek. Wydanie go jest dla mnie priorytetem. Właściwie powinienem chcieć go rozdać, ale jestem wredny.

Co mi zależy, kto dostanie te pieniądze? Robiłem z nimi wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Siedząc tu sam, na wózku inwalidzkim, czekając, nie potrafię pomyśleć nawet o jednej rzeczy, którą chciałbym sobie kupić czy zobaczyć, o żadnym miejscu, które chciałbym odwiedzić, o żadnej przygodzie, jaką jeszcze miałbym chęć przeżyć.

Próbowałem już wszystkiego i jestem bardzo zmęczony.

Nie obchodzi mnie, kto dostanie pieniądze. Ale bardzo mi zależy, żeby niektórzy ich nie dostali.



Każdy metr kwadratowy tego budynku został zaprojektowany przeze mnie, wiem więc dokładnie, gdzie kogo posadzić podczas tej małej uroczystości. Są tu wszyscy. Czekanie się przedłuża, ale ich to nie zraża. Staliby nadzy na śnieżycy, byle dostać to, na co liczą.

Pierwszą rodziną jest Lillian i jej potomstwo, czwórka moich dzieci wydanych na świat przez kobietę, która rzadko pozwalała mi się tknąć. Pobraliśmy się młodo – miałem dwadzieścia cztery lata, ona osiemnaście, więc teraz i ona jest stara. Nie widziałem jej od lat i dziś też nie zobaczę. Na pewno nadal odgrywa rolę pełnej żalu oddanej pierwszej żony, która została porzucona i wymieniona na kobietę-trofeum. Nigdy nie wyszła ponownie za mąż i jestem przekonany, że od pięćdziesięciu lat nie poszła z nikim do łóżka. Nie wiem, jak udało nam się spłodzić tyle dzieci.

Jej najstarszy syn skończył czterdzieści siedem lat. Troy Junior, nic niewarty idiota, który ma nieszczęście nosić moje imię. Jako chłopiec używał zdrobnienia TJ i nadal woli je od Troya. Z szóstki dzieci, które się tu zebrały, TJ jest najbardziej tępy, choć pozostali niewiele ustępują mu pod tym względem. Wywalili go z college'u, kiedy miał dziewiętnaście lat, za sprzedawanie narkotyków.

TJ, jak moje pozostałe latorośle, dostał na dwudzieste pierwsze urodziny pięć milionów dolarów. I jak jego rodzeństwu, te pieniądze przeciekły mu przez palce.

Nie jestem w stanie przytoczyć wszystkich żalonych historii dzieci Lillian. Dość powiedzieć, że każde z nich jest mocno zadłużone, nie nadaje się do żadnej pracy, a nadzieje, że to się zmieni, są bardzo nikłe, więc złożenie przeze mnie podpisu na testamentie to dla nich najważniejszy moment w życiu.

Ale wróćmy do byłych żon. Od oziębłej Lillian uciekłem do dziko namiętnej Janie – pięknego młodego stworzenia zatrudnionego w charakterze sekretarki w dziale księgowości. Szybko awansowała, kiedy uznałem, że jest mi potrzebna w podróży służbowych. Rozwiodłem się z Lillian i ożeniłem

z Janie, która była dwadzieścia dwa lata młodsza ode mnie i zdecydowana mnie zadowalać. Urodziła mi dwoje dzieci najszybciej, jak się dało. Wykorzystywała je, żeby utrzymać mnie przy sobie. Rocky, młodszy, zginął w sportowym aucie z dwójką kumpli, a wypadek ten kosztował mnie sześć milionów w wyniku ugody, która ustrzegła mnie przed procesem sądowym.

Z Tirą ożeniłem się, kiedy miałem sześćdziesiąt cztery lata. Ona miała dwadzieścia trzy i była ze mną w ciąży. Tak urodził się mały potwór, którego z niewiadomego mi powodu nazwała Ramble. Chłopak ma teraz czternaście lat i był już raz aresztowany za kradzież w sklepie, a raz za posiadanie marihuany. Jego tłuste włosy kleją się do szyi i sięgają za ramiona. Nosi kolczyki w uszach, brwiach i nosie. Mówiono mi, że chodzi do szkoły, kiedy uzna to za stosowne.

Ramble wstydzi się, że jego ojciec ma prawie osiemdziesiąt lat, a ojciec wstydzi się, że jego syn ma srebrne kulki na przekłutym języku.

On też, jak wszyscy, spodziewa się, że złożę podpis na testamentie i sprawię, że jego życie stanie się lepsze. Choć mam wielki majątek, moje pieniądze nie starczą na długo tym idiotom.

Umierający człowiek nie powinien ziać nienawiścią, ale nie na to nie poradzę. To żałosna banda, oni wszyscy. Ich matki mnie nie znoszą i wpołyły to uczucie dzieciom.

Są jak hieny krążące dokoła, o ostrych pazurach i zębach, z głodem w oczach wyczekujące niewyczerpanych pokładów gotówki.



Podstawową kwestią jest teraz to, czy jestem o zdrowych zmysłach. Sądzą, że mam guza mózgu, bo gadam dziwne rzeczy. Mamrocę coś bez ładu i składu podczas spotkań i przez telefon, a podwładni za moimi plecami szepczą, kiwają głowami i myślą sobie: Tak, prawda. To guz.

Spisałem testament dwa lata temu i zapisałem w nim wszystko ostatniej partnerce, która wówczas paradowała po mieszkaniu ubrana jedynie w majteczki w cętki leoparda. Rzeczywiście, mam bzika na punkcie dwudziestoletnich blondynek z tymi wszystkimi krągłościami. Ale szybko dostała kopa w tyłek. A niszcarka testament. Miałem po prostu dość.

Trzy lata temu też sporządziłem testament, tak dla hecy, i zapisałem wszystko organizacjom charytatywnym, ponad stu. Pewnego dnia miałem pyskówkę z TJ-em, zwyzywałem go, a on mnie, i powiedziałem mu o swojej nowej ostatniej woli. On, jego matka i rodzeństwo wynajęli kilku szemranych prawników i polecieli do sądu, żeby zamknąć mnie w zakładzie – na leczenie i badania psychiatryczne – co było sprytne ze strony ich prawników, bo gdyby uznano mnie za niespełna rozumu, testament byłby nieważny.

Ale ja mam wielu prawników, którym płacę po tysiąc dolarów za godzinę, by interpretowali prawo na moją korzyść. Nie trafiłem do psychiatryka, choć w tamtym czasie chyba rzeczywiście trochę mi odbijało.

I mam niszcarkę, której używałem do starych testamentów. Wszystkie zostały pocięte na strzępy, pożarła je ta mała maszynka.

Noszę długie białe szaty z tajskiego jedwabiu i golę głowę jak mnich. Jem niewiele, moje ciało skurczyło się i pomarszczyło. Myślę, że przeszedłem na buddyzm, ale tak naprawdę studiuję Zaratustrę. Nie widzą różnicy. Właściwie potrafię zrozumieć, dlaczego myślę, że nie jestem w pełni władz umysłowych.

Lillian i jej dzieci są w sali konferencyjnej zarządu na trzynastym piętrze, tuż pode mną. To duże pomieszczenie – marmury, mahoń, kosztowne dywany i długi owalny stół pośrodku; teraz siedzi przy nim gromada bardzo zdenerwowanych ludzi. Nic dziwnego, że prawników jest więcej niż członków rodziny. Lillian ma prawnika i każde z jej czwórki dzieci też, z wyjątkiem TJ-a, który przyprowadził aż trzech, by zaznaczyć, jaki jest ważny, i mieć pewność, że

uzyska porządną poradę na każdy możliwy scenariusz. TJ ma więcej problemów prawnych niż większość czekających w więzieniach na wykonanie wyroku śmierci. Po jednej stronie stołu jest wielki ekran, na którym będzie wyświetlana relacja z tego, co ma się wydarzyć.

Brat TJ-a, Rex, lat czterdzieści cztery, mój drugi syn, ożenił się ze striptizerką. To biedne stworzenie bez mózgu, za to z wielkim sztucznym biustem, ma na imię Amber i jest, jak sądzę, jego trzecią żoną. Zresztą drugą czy trzecią, czy mam prawo go potępiać? W każdym razie pojawiła się tutaj, razem z resztą aktualnych żon albo partnerek, i wierci się niespokojnie, bo za chwilę ma dojść do podziału jedenastu miliardów.

Najstarszą córką Lillian i moją jest Libbigail. Szaleńczo ją kochałem, póki nie wyjechała do college'u i o mnie nie zapomniała. Potem wyszła za Afrykanina, a ja wykreśliłem jej imię z moich testamentów.

Mary Ross to ostatnie dziecko Lillian. Poślubiła lekarza, któremu marzy się bogactwo, ale toną w długach.

Janie ze swoją rodziną czeka w sali na dziesiątym piętrze. Od naszego rozvodu miała dwóch mężów. Jestem niemal pewien, że w tej chwili mieszka sama. Wynajmuję detektywów, żeby być na bieżąco, ale nawet FBI nie byłoby w stanie nadążyć za jej przygodami łóżkowymi. Jak wspominałem, nasz syn Rocky zginął. Cóрка, Geena, jest tu ze swoim drugim mężem, Codym, debilem po studiach MBA, wystarczająco niebezpiecznym, żeby wziąć jakieś pół miliarda dolarów i w trzy lata po mistrzowsku je roztrwonić.

No i jest jeszcze Ramble, zgarbiony na krześle na piątym piętrze, liżący złoty kolczyk w kąciku ust, przeczesujący palcami tłuste zielone włosy i popatrujący spode łba na matkę, która miała czelność pojawić się tu dziś z jakimś włochatym małym żigolakiem. Ramble spodziewa się, że dziś stanie się bogaty, że dostanie wielki majątek tylko dlatego, że został przeze mnie splodzony. On też ma prawnika – hipisowatego radykała, którego Tira wypatrzyła w telewizji i wynajęła zaraz

po tym, jak go zaliczyła. Czekają razem z innymi.  
Znam ich wszystkich. I obserwuję.



Z zaplecza mojego apartamentu wynurza się Snead. Jest moim „przynies wynies” już prawie trzydzieści lat. Okrągły niewyglądny człowieczek w białej kamizelce, potulny i uniżony, wiecznie lekko nachylony, jakby kłaniał się królowi. Zatrzymuje się przede mną. Dłonie splecione na brzuchu, jak zawsze, głowa przechylona na bok, wkurzający lepki uśmieszek.

– Jak się pan miewa? – pyta z afektowanym zaśpiewem, którego nabył kiedyś w Irlandii.

Milczę, bo nie mam obowiązku odpowiadać Sneadowi i nikt tego nie oczekuje.

– Kawy, proszę pana?

– Lunch.

Snead mruga i skłania się jeszcze niżej, po czym drepcze spełnić moje polecenie. Mankiety jego spodni zamiatają podłogę. On też liczy na to, że stanie się bogaty po mojej śmierci. I przypuszczam, że już nie może się doczekać, jak oni wszyscy.

Problem z posiadaniem pieniędzy polega na tym, że każdy chciałby coś z nich uszczknąć. Kawałeczek, odrobinę. Co to jest dla miliardera milion? Daj mi milion, stary, nawet nie poczujesz. Pożycz mi trochę i obaj zapomnijmy o sprawie. Dopisz moje nazwisko w testamencie, zmieści się.

Snead jest wścibski jak diabli. Lata temu przyłapałem go na grzebaniu w moim biurku. Sądzę, że szukał najnowszego testamentu. Chce, żebym umarł, bo liczy na kilka milionów.

Jakie ma prawo czegokolwiek oczekiwać? Powinienem był dawno go zwolnić.

Jego nazwisko nie jest wymienione w najnowszym testamencie.

Stawia przede mną tacę – nieotwarte opakowanie krakersów Ritz, mały słoiczek miodu z plastikowym zabezpieczeniem przy



wieczku i puszka lemoniady Fresca w temperaturze pokojowej. Jakakolwiek zmiana i Snead wylatuje z miejsca.

Odprawiam go i maczam krakersy w miodzie. Ostatni posiłek.

## Rozdział 2

---

Siedzę i patrzę przez ściany z przyciemnionego szkła. W pogodny dzień mogę dojrzeć stąd, z odległości dziewięciu kilometrów, czubek pomnika Waszyngtona, ale nie dziś. Jest brzydko, zimno, pochmurno, wieje wiatr. Nie najgorszy dzień na śmierć. Wiatr zwiewa ostatnie liście z drzew i rozrzuca po parkingu na dole.

Czemu martwi mnie ból? Co złego w odrobinie cierpienia? Spowodowałem więcej nieszczęść niż pierwszych lepszych dziesięciu ludzi razem wziętych.

Naciskam guzik i pojawia się Snead. Kłania się i popycha mój wózek przez drzwi apartamentu do marmurowego holu, a potem przez kolejne drzwi. Jesteśmy coraz bliżej, ale nie odczuwam niepokoju.

Kazałem psychiatrom czekać ponad dwie godziny.

Mijamy moje biuro. Kiwam głową Nicolette, mojej najnowszej sekretarce, kochanemu młodemu stworzeniu. Bardzo ją lubię. Z czasem mogłaby się stać numerem cztery.

Ale nie ma czasu. Tylko minuty.

Mołoch już czeka – bandy prawników i kilku psychiatrów, którzy stwierdzą, czy jestem poczytalny. Skupili się wokół długiego stołu w mojej sali konferencyjnej. Kiedy się pojawiam, wszyscy milkną, wlepiają we mnie wzrok. Snead podprowadza mnie do jednego z krańców stołu, na miejsce obok mojego prawnika, Stafforda.

Kamery są skierowane w różnych kierunkach. Obsługujący rzucają się, żeby podregulować ostrość. Każdy szept, każdy ruch, każdy oddech zostaną zarejestrowane, bo chodzi o wielką fortunę.

Ostatnia wola, którą podpisałem, zostawiała niewiele dzieciom. Przygotował ją Josh Stafford, jak zawsze. Włożyłem ją dziś rano do niszcarki.

Siedzę tu, żeby pokazać światu, że jestem w pełni sił umysłowych, by podpisać nowy testament. Kiedy moja poczytalność zostanie dowiedziona, nikt nie będzie mógł go zakwestionować.

Na wprost mnie jest trzech psychiatrów – po jednym od każdej rodziny. Przed nimi stoją kartoniki, na których ktoś wydrukował ich nazwiska – *Dr Zadel*, *Dr Flowe*, *Dr Theishen*. Przyglądam się twarzom i oczom tych specjalistów. Skoro mam wyglądać na człowieka w pełni władz umysłowych, muszę nawiązywać kontakt wzrokowy.

Przypuszczają, że jestem trochę szurnięty, ale zjadłbym ich na śniadanie.

Stafford ma poprowadzić imprezę. Kiedy wszyscy są na swoich miejscach, a kamery gotowe, mówi:

– Nazywam się Josh Stafford, jestem prawnikiem reprezentującym pana Troya Phelana, siedzącego po mojej prawej ręce.

Wpatruję się w psychiatrów, jednego po drugim, patrzę im prosto w oczy, surowo, aż mrugają i odwracają wzrok. Każdy ma na sobie ciemny garnitur. Zadel i Flowe noszą wątle bródki. Theishen, który nie wygląda na więcej niż trzydzieści lat, założył muszkę. Żony i ich dzieci miały prawo zaangażować, kogo zechcą.

– Celem tego spotkania – ciągnie Stafford – jest zbadanie pana Phelana przez zespół psychiatrów, którzy mają ustalić jego zdolność testamentową. Zakładając, że zostanie ona potwierdzona, pan Phelan zamierza podpisać ostatnią wolę, która określi, jak po jego śmierci ma być rozdysponowany jego

majątek.

Stafford stuka długopisem w leżący przed nim plik gruby na dwa, może trzy centymetry. Jestem pewien, że kamery robią zbliżenie i że na sam widok tego dokumentu po plecach moich dzieci i ich matek siedzących w różnych częściach budynku przebiegają dreszcze.

Nie widzieli tego testamentu, nie mają też do tego prawa. To poufny dokument, którego treść ujawnia się dopiero po śmierci. Mogą jedynie domyślać się, co zawiera. Moi potencjalni spadkobiercy chwycili drobne aluzje, misternie spreparowane przeze mnie kłamstwem.

I uwierzyli, że większość tego, co mam, zostanie dość sprawiedliwie podzielona na dzieci, a byłe małżonki zostaną hojnie obdarowane. Są o tym przekonani, czują to. Modlili się o to gorliwie tygodniami, nawet miesiącami. To dla nich sprawa życia i śmierci, bo wszyscy toną w długach. Ostatnia wola leżąca przede mną ma uczynić z nich bogaczy i zapobiec sporom. Dokument przygotował Stafford i w rozmowach z ich prawnikami, za moim pozwoleniem, zarysował w przybliżeniu, co zawiera. Każde z dzieci dostanie pewną sumę w granicach trzystu, pięciuset milionów, a po pięćdziesiąt milionów przypadnie byłym żonom, które zostały dobrze zabezpieczone podczas rozwodów, ale o tym, oczywiście, już się nie pamięta.

W sumie rodzina dostanie jakieś trzy miliardy. Reszta, po potrąceniu podatków w wysokości kilku miliardów, pójdzie na cele charytatywne.

Rozumiecie więc, czemu tutaj są, wypucowani, wystrojeni i trzeźwi (przeważnie); w napięciu patrzą w monitory i czekają jak na szpilkach w nadziei, że ja, stary człowiek, dam radę. Jestem pewien, że uprzedzili wynajętych psychiatrów: „Nie bądźcie zbyt surowi dla staruszka. Chcemy, żeby okazał się zdrow na umyśle”.

Skoro wszyscy są zadowoleni, to po co cały ten cyrk z badaniem? Bo zamierzam wykiwać ich po raz ostatni i chcę to zrobić jak należy.

Psychiatrzy to mój pomysł, ale moje dzieci i ich prawnicy są zbyt tępi, żeby zdać sobie z tego sprawę.

Zaczyna Zadel.

– Panie Phelan, może nam pan powiedzieć, jaką mamy dziś datę, która jest godzina i gdzie się znajdujemy?

Czuję się jak pierwszoklasista. Opuszczam głowę jak imbecyl i zastanawiam się nad odpowiedzią tak długo, że na pewno mieliby ochotę wychylić się do przodu i szepnąć: „No dawaj, ty zwariowany stary skurczybyku. Przecież wiesz”.

– Poniedziałek – mówię cicho. – Poniedziałek. Dziewiąty grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku. I jesteśmy w moim biurze.

– A godzina?

– Jest około czternastej trzydzieści.

Nie noszę zegarka.

– A gdzie znajduje się pana biuro?

– W McLean, w stanie Wirginia.

Do mikrofonu nachyla się Flowe.

– Czy może pan wymienić imiona i daty urodzin swoich dzieci?

– Nie. Imiona może tak, ale nie daty urodzin.

– Dobrze. Proszę podać imiona.

Nie spieszę się. Nie zamierzam od razu popisywać się, jaki to ze mnie bystrzak. Niech się pocą z nerwów.

– Troy Phelan Junior, Rex, Libbigail, Mary Ross, Geena i Ramble. – Wypowiadam to tak, jakby było mi przykro nawet o nich pomyśleć.

Flowe ma okazję zadać pytanie dodatkowe.

– Było też siódme dziecko, prawda?

– Prawda.

– Pamięta pan jego imię?

– Rocky.

– Co się z nim stało?

– Zginął w wypadku samochodowym.

Prostuję się w fotelu, unoszę głowę i patrzę kolejno w oczy

psychiatrom, wykazując przed kamerami, że jestem całkiem zdrow na umyśle. Na pewno dzieci i byłe żony są ze mnie dumni, obserwując monitory w swoich grupach, ściskając dłonie aktualnych partnerów i uśmiechając się do nienasyconych prawników, bo stary Troy zaliczył egzamin wstępny.

Może mój głos jest cichy i bez wyrazu, może w białej jedwabnej szacie i zielonym turbanie na głowie wyglądam jak czubek, ale odpowiedziałem na pytania.

No dawaj, staruszk, błagają mnie w duchu.

– Jaki jest obecnie pana stan fizyczny? – pyta Theishen.

– Bywało lepiej.

– Podobno ma pan nowotwór.

Od razu do rzeczy, co?

– Myślałem, że badanie dotyczy mojego stanu umysłowego – mówię, rzucając okiem na Stafforda, a ten nie może powstrzymać uśmiechu. Ale zgodnie z zasadami wszelkie tematy są dozwolone. To nie sala sądowa.

– Prawda – przyznaje uprzejmie Theishen. – Ale każde pytanie jest istotne dla sprawy.

– Ach, tak.

– Odpowie pan?

– Na co?

– Czy ma pan nowotwór?

– Jasne. Mam w mózgu guz wielkości piłeczki do golfa. Rośnie z dnia na dzień. Jest nieoperacyjny. Lekarz nie daje mi nawet trzech miesięcy życia.

Mam wrażenie, że słyszę, jak na piętrach niżej strzelają korki od szampana. Pogłoski o guzie się potwierdziły!

– Czy w tej chwili jest pan pod wpływem jakichkolwiek leków, narkotyków albo alkoholu?

– Nie.

– Czy jest pan w posiadaniu jakichś mocnych środków przeciwbólowych?

– Na razie nie.

Głos znów zabiera Zadel.

– Panie Phelan, trzy miesiące temu magazyn „Forbes” ocenił pana majątek na osiem miliardów dolarów. Czy to trafne oszacowanie?

– Od kiedy to „Forbesa” uznaje się za miarodajne źródło?

– A więc to nieprawda?

– Można raczej powiedzieć, że ta suma oscyluje pomiędzy jedenastoma miliardami a jedenastoma i pół, w zależności od notowań giełdy – oświadczam bardzo wolno, ale zdecydowanie, tonem kogoś, kto wie, o czym mówi. Nikt nie wątpi w ogrom mojej fortuny.

Flowe postanawia drążyć temat pieniędzy.

– Panie Phelan, potrafiłby pan opisać, w ogólnych zarysach, organizację pana finansów?

– Tak, potrafiłbym.

– Zechce pan to zrobić?

– Czemu nie. – Urywam i pozwalam, żeby ich napięcie rosło. Stafford zapewnił mnie, że nie muszę ujawniać poufnych informacji. Wystarczy powiedzieć, jak to wygląda z grubsza, twierdził. – Phelan Group to prywatna korporacja, należy do niej siedemdziesiąt różnych firm, z których kilka jest na giełdzie.

– Jakie są pana udziały w Phelan Group?

– To dziewięćdziesiąt siedem procent. Reszta jest w rękach garstki pracowników.

Do obławy przyłącza się Theishen. Nie trwało długo, nim skupili się na kurze znoszącej złote jajka.

– Panie Phelan, czy pana przedsiębiorstwo ma udziały w Spin Computer?

– Tak – odpowiadam bez pośpiechu, starając się umiejscowić tę firmę na tle dżungli interesów, które prowadzę.

– Ile ich pan posiada?

– Osiemdziesiąt procent.

– Czy akcje Spin Computer są dostępne na giełdzie?

– Owszem.

Theishen grzebie w stercie dokumentów wyglądających na pisma urzędowe i widzę, że ma tam roczne sprawozdanie



firmy i raporty kwartalne – to, co potrafiłby pozyskać każdy przeciętny student prawa.

- Kiedy nabył pan Spin? – pyta.
- Jakież cztery lata temu.
- Ile pan zapłacił?
- Po dwadzieścia dolarów za akcję. W sumie trzysta milionów.

Chciałem chwilę zwlekać z odpowiedzią, ale nie mogłem się powstrzymać. Świdruję wzrokiem Theishena, nie mogę się doczekać następnego pytania.

- A ile są dziś warte? – rzuca.
- Według wczorajszych notowań, akcje są na poziomie prawie czterdziestu trzech i pół, może pół punktu niżej. Kapitał podwoił się od czasu zakupu. Inwestycja jest obecnie warta jakieś osiemset pięćdziesiąt milionów.
- Osiemset pięćdziesiąt milionów?
- Zgadza się.

W gruncie rzeczy na tym badanie skończone. Jeśli jestem w stanie pojąć wczorajsze notowania na giełdzie, to moi przeciwnicy są usatysfakcjonowani. Niemal widzę już, jak się głupkowato uśmiechają. Słyszę stłumione wiwaty. Brawo, Troy! A niech ich szlag.

Zadel chce ustalić pewne fakty. Chodzi o sprawdzenie zakresu mojej pamięci.

- Panie Phelan, gdzie się pan urodził?
- W Montclair, w stanie New Jersey.
- Kiedy?
- Dwunastego maja tysiąc dziewięćset osiemnastego roku.
- Nazwisko panińskiego matki?
- Shaw.
- Kiedy umarła?
- Dwa dni przed Pearl Harbor.
- A ojciec?
- Co ojciec?
- Kiedy zmarł?

– Nie wiem. Ulotnił się, jak byłem dzieckiem.

Zadel popatruje na Flowe'a, który ma pytania spisane w notesie.

– Kto jest pana najmłodszą córką? – pyta Flowe.

– Z której rodziny?

– Hm... z pierwszej...

– To będzie Mary Ross.

– Zgadza się...

– Oczywiście, że się zgadza.

– Gdzie studiowała?

– Na Uniwersytecie Tulane'a, w Nowym Orleanie.

– A co?

– Coś o średniowieczu. Potem zawarła niefortunny związek małżeński, jak wszystkie moje dzieci. Pewnie odziedziczyły ten talent po mnie. – Wyobrażam sobie, jak się na to najeżają. I niemal widzę, jak prawnicy i obecni małżonkowie lub partnerzy tłumią uśmieszki, bo nikt nie może zaprzeczyć, że żeniąc się, naprawdę za każdym razem trafiałem jak kulą w płot.

A rozmnażanie się wychodziło mi jeszcze bardziej żałośnie.

Flowe nagle uznaje, że ta runda skończona. Theishena nadal frapuje kwestia pieniędzy.

– Ma pan pakiet kontrolny akcji MountainCom?

– Tak, jestem pewien, że ma to pan przed sobą w papierach. To spółka publiczna.

– Ile pan zainwestował?

– Płaciłem około osiemnastu dolarów za akcję. Dziesięć milionów akcji.

– A teraz to...

– Wczoraj wartość akcji wynosiła dwadzieścia jeden dolarów. Po sześciu latach mam w tych akcjach jakieś czterysta milionów. Czy to jest odpowiedź na pana pytanie?

– Tak. Tak sądzę. W ilu spółkach publicznych ma pan pakiety kontrolne?

– W pięciu.

Flowe spogląda na Zadela. Zastanawiam się, ile to jeszcze

potrwa. Nagle czuję zmęczenie.

– Jeszcze jakieś pytania? – rzuca Stafford.

Nie chcemy wywierać presji, zależy nam, żeby byli w pełni usatysfakcjonowani.

– Zamierza pan podpisać swoją ostatnią wolę dzisiaj?

– Taki mam zamiar.

– Czy to ten dokument, który leży przed panem na stole?

– Tak.

– Czy w tym testamencie przeznacza pan sporą część swoich środków dzieciom?

– Tak.

– Czy jest pan gotów podpisać to teraz?

– Tak.

Zadel starannie odkłada pióro na stół, w zamyśleniu splata dłonie i patrzy na Stafforda.

– Moim zdaniem pan Phelan ma w tej chwili pełną zdolność, by wydać dyspozycje co do podziału swojego majątku po śmierci – oświadcza, ważąc każde słowo, jakby mój występ pozostawiał możliwość innej interpretacji.

Dwaj pozostali psychiatry szybko przychylają się do jego opinii.

– Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że pan Phelan jest w pełni władz umysłowych – zwraca się Flowe do Stafforda. – Według mnie jest osobą myślącą niezwykle trzeźwo i precyzyjnie.

– Stwierdza to pan bez najmniejszych zastrzeżeń?

– Jak najbardziej.

– Doktorze Theishen?

– Nie oszukujmy się. Pan Phelan dobrze wie, co robi. Jest o wiele bystrzejszy od nas.

Och, dziękuję. Aż się wzruszyłem. Banda psychiatrów, którzy stawali na głowie, żeby zarobić ze sto tysięcy rocznie, kiedy ja zarabiałem miliardy, poklepuje mnie po głowce i chwali, jaki to mądry ze mnie chłopczyk.

– A więc stwierdzają panowie jednogłośnie? – upewnia

się Stafford.

– Tak, zdecydowanie.

Skwapliwie kiwają głowami.

Stafford podsuwa mi testament i podaje pióro.

– To ostatnia wola i testament Troya L. Phelana, unieważniający wszelkie poprzednie tego typu dokumenty i uzupełnienia do nich – mówię.

Testament ma dziewięćdziesiąt stron, został przygotowany przez Stafforda i kogoś z jego kancelarii. Rozumiem ideę, ale sformułowania mnie nie obchodzą. Nie czytałem go i nie musiałem. Przekartkowuję dokument i stawiam na końcu podpis, którego nikt nie może odczytać, a potem kładę na nim dłoń.

Te hieny nigdy go nie zobaczą.

– Niniejszym uważam to spotkanie za zakończone – oznajmia Stafford i wszyscy pośpiesznie zbierają się do wyjścia.

Zgodnie z moją instrukcją, trzy żony i ich dzieci zostają szybko wyprowadzeni z sal i poproszeni o opuszczenie budynku.

Jedna z kamer pozostaje skupiona na mnie. Obraz nie trafia już nigdzie indziej poza archiwum. Prawnicy i psychiatrzy wychodzą w pośpiechu. Każę Sneadowi zająć miejsce przy stole. Stafford i jeden z jego współników, Durban, pozostają w sali. Kiedy jesteśmy już sami, wyciągam zza poły jedwabnej szaty kopertę i otwieram ją. Wyjmuję z niej trzy żółte kartki i kładę przed sobą na stole.

Pozostało już tylko kilka sekund. Przebiega mnie lekki dreszczyk lęku. To będzie wymagało ode mnie więcej sił, niż zdołałem wykrzesać z siebie w ciągu ostatnich tygodni.

Stafford, Durban i Snead gapią się na żółte kartki zdumieni.

– Oto mój testament – oznajmiam, wyjmując pióro. – Holograficzna wola, której każde słowo spisałem sam, kilka godzin temu. Z dzisiejszą datą i właśnie teraz podpisana.

Znów bazgrzę imię i nazwisko.

Stafford jest zbyt zaskoczony, by zareagować.

– Unieważnia ona wszystkie poprzednie testamenty, włącznie z tym, który został podpisany pięć minut temu – dodaje.

Składam kartki i wsuwam je z powrotem do koperty.

Zaciskam zęby i przypominam sobie, jak bardzo chcę umrzeć.

Przesuwam kopertę po blacie w kierunku Stafforda i w tej samej chwili podnoszę się z wózka inwalidzkiego. Nogi mi się trzęsą. Serce mi wali. To już sekundy. Na pewno umrę, nim wyląduję.

– Hej! – krzyczy ktoś. Chyba Snead. Ale ja jestem już daleko.

Kuśtykając, niemal biegiem mijam rząd obitych skórą krzeseł i jeden z moich portretów – marny, zamówiony przez żonę – mijam wszystko i dopadam przesuwanych szklanych drzwi, które nie są zablokowane. Wiem, bo przećwiczyłem to parę godzin temu.

– Stój! – wrzeszczy ktoś i ruszają za mną.

Nikt od roku nie widział, żeby chodził. Łapię za klamkę i otwieram drzwi. Powietrze jest przejmująco zimne. Robię bosą stopą krok na wąski taras, który otacza ostatnie piętro budynku. Nie patrząc w dół, rzucam się przez barierkę.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

**Pełna wersja książki** do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).